

F R A N C I S Z E K   G W I A Z D O W S K I

W   T A J D Z E,   W   W I E Z I E N I A C H  
I   Ł A G R A C H

M a t c e   m o j e j   p o ś w i ę c a m

Tekst nagrania magnetofonowego   en. 17.01. 1991   r.

Maszynopis opracował i uzupełnił mapkami oraz przypisami

dr Czesław   Bazan

W r o c ł a w

L u t y   1 9 9 1

FRANCISZEK GWIAZDOWSKI

W TAJDZE, W WIEZIENIACH  
I ŁAGRACH

Matce mojej poświęcam

Tekst nagrania magnetofonowego      dn. 17.01. 1991 r.

Maszynopis opracował i uzupełnił mapkami oraz przypisami

dr Czesław Bazan.

Wrocław

Luty 1991 r.



## SPIS TRESCI

Przedmowa	str. II
1. Deportacja	" 1
2. Nad Wasiuganem	" 13
3. W więzieniach i obozach	" 30
Przypisy	" 36

## SPIS ILUSTRACJI

1. Mapa ZSRR z trasą deportacji	str 8/9
2. Mapa okręgu Narymskiego	" 11/12
3. Mapka dolnego biegu rzeki Wasiugan	" 13/14
4. Zaświadczenie zesłańcze F. Gwiazdowskiego	" 13/14
5. Plan Kargaska	" 24/25



## II

### PRZEDMOWA

Losy rodziny Gwiazdowskich- którą reprezentuje autor- tych wspomnień- mogłyby stanowić kanwę wspaniałego filmu o treści nie tylko martyrologicznej czy kombatanckiej, ale i przygodowej! Oto członkowie rodziny dwukrotnie uciekają z transportu na Sybir- ewenement nie spotykany, albo niesłychanie rzadki w ówczesnych realiach. Rodzina zostaje rozdarta: jedni jej członkowie węgetują w różnych zakątkach Sybiru, podczas gdy inni działają czynnie w Armii Krajowej w okolicach Lwowa. Sam pan Franciszek doznaje najgorszego losu- trafia do więzień i łagrów, w tym i do słynnego łagru w Iskitimiu.

Obecnie p. Franciszek Gwiazdowski opracowuje swoje wspomnienia, napisał już ponad 400 stron rękopisu. Oby mu starczyło siły woli na ich dokończenie!

dr Czesław Bazan



## 1. D e p o r t a c j a .

WYKAZ WSKAZÓW

Urodziłem się w miejscowości położonej między Gródkiem Jagiellońskim a Sądową Wisznią, w Rodatyczach. Ojciec i matka byli rolnikami. Było nas pięciu braci: najstarszy Szczepan, Jan, Franciszek - to ja, młodszy ode mnie Władysław, oraz najmłodszy Alojzy. Szczepan Ukończył gimnazjum w Gródku Jagiellońskim; po ukończeniu gimnazjum odbył szkołę podchorążych we Włodzimierzu Wołyńskim, następnie skierowany został do służby w 10. pułku artylerii ciężkiej w Przemyśle. Po odbyciu służby wojskowej postanowił studiować prawo na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Pozostali członkowie rodziny, t.zn. ja i młodszy brat Władysław, również uczęszczali do tego samego gimnazjum w Gródku Jagiellońskim. Jan, drugi ze starszych braci, miał zostać następcą po Ojcu w gospodarstwie, które mieliśmy w Rodatyczach. Było to gospodarstwo siedemnasto hektarowe.

Wojna w 1939 r. nie była dla nas jakimś specjalnym zaskoczeniem, ponieważ już pod koniec lipca został zmobilizowany do wojska Szczepan, jako oficer w randze porucznika, do 10. pułku artylerii ciężkiej w Przemyśle. Kampanię wrześniową odbył w tymże pułku, w grupie południowej, którą dowodził generał Sosnkowski. Brat Jan został zmobilizowany 14 sierpnia; kampanię wrześniową odbył w 26. pułku piechoty; uciekł z niewoli niemieckiej i wrócił do domu w październiku 1939 r.

Co do Szczepana, to dostał się on pod Lwowem do niewoli niemieckiej; osadzony został w obozie jenieckim w Przemyśle, z którego to obozu zbiegł na początku grudnia 1939 r., przeprawił się przez San i przybył do domu do Rodatycz.

8 grudnia 1939 r. był pierwszy napad, bandycki napad NKWD w poszukiwaniu brata Szczepana. Cudem uniknął aresztowania, ponieważ po prostu nie wrócił na noc do domu - konkretnie mówiąc grał w karty do białego rana! Odtąd zrozumieliśmy wszyscy, że jesteśmy pod ścisłą i baczna obserwacją NKWD. Szczepan musiał zmienić miejsce poby-



tu i od tego czasu aż do końca maja 1941 r. ukrywał się : zmieniał nazwisko, zmieniał stale miejsce pobytu. Przebywał bądź to we Lwowie, szczególnie u państwa Jazłowieckich na placu Szumlańskim, bądź też przebywał w innych miastach takich jak Jaworów, Rudki, albo też w okolicznych wsiach w pobliżu Rodatycz. Tak to trwało do 13 kwietnia 1940 r.

Tego dnia o świcie zajechał samochód ciężarowy z kilkoma enkawudzystami. Otoczono zagrodę, załadowano wszystkich na samochód i powieziono do Gródka Jagiellońskiego. W Gródku Jagiellońskim załadowano całą rodzinę do wagonu , i następnie kilka tych wagonów przewieziono do Lwowa. Było to już wieczorem 13 kwietnia.

14 kwietnia rano jeszcze uzupełniano ten skład innymi wagonami, i gdzieś około południa zaczęło się dziać coś nadzwyczajnego na zewnątrz. Po prostu zauważyliśmy, że z niektórych wagonów uykają pojedyncze osoby. Błyskawicznie zorientowaliśmy się, że są możliwości ucieczki, gdyż na te ucieczki konwój - o dziwo! - wcale nie reaguje. Po błyskawicznej naradzie, z naszego wagonu uciekli wszyscy Gwiazdowscy.

Ojciec odmówił ucieczki. Tłumaczył to tym, że jeden Gwiazdowski na Syberię musi jechać i musi się poświęcić, i na pewno - jeśli chociaż jeden pojedzie - to pozostała rodzina może być uratowana.

Zapomniałem powiedzieć, że podczas naszego aresztowania, Szczepana nie było ani w domu, ani w pobliżu. O naszej deportacji dowiedział się dopiero w następnym dniu.

Tak więc 14. kwietnia z transportu we Lwowie uciekli: moja Matka, Maria Gwiazdowska, starszy brat Jan Gwiazdowski, ja - t.j. Franciszek Gwiazdowski, młodszy brat Władysław i najmłodszy Alojzy. Uciekliśmy wszyscy; Ojciec pojechał sam i został osiedlony w Kazachstanie, Kustanajskaja obłast, Mendagarinskij rajon, posesję Kamionka.

Z Rodatycz wysiedlono jeszcze i inne rodziny, również rodziny oficerskie. Pragnę nadmienić, że podstawą deportacji w tym czasie



było to, że syn lub ktoś z rodziny był oficerem- bez względu na to, czy zawodowym, czy oficerem rezerwy, ewentualnie jeśli ktoś służył w policji.

Tak więc, razem z rodziną Gwiazdowskich, z Rodatycz została deportowana rodzina Moczulskich, Chabudów, Kicińskich, Łanowych i rodzinę Pikorów z Gutenbergu- inaczej ze Żbady. Wszyscy oni w całości pojechali na Syberię, a tylko rodzina Gwiazdowskich we Lwowie w sposób łagodny, "bezkonfliktowy"- uciekła.

Znaleźliśmy się po tej ucieczce w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Trzeba było jakiś czas ukrywać się- u znajomych, u krewnych, u kolegów czy przyjaciół- w różny sposób- każdy na własną rękę. Po dwu miesiącach takiej tułaczki zakomunikowano nam poprzez naszych krewnych, że komisarz Hołoweńko zezwala na legalny powrót do rodzinnego domu- do domu, który zresztą został już zamieniony na kółchoz. Po powrocie o odebraniu ziemi nie było mowy, natomiast można nam było legalnie osiedlić się w jednej części domu, bo dom był duży, i można było uprawiać na własne utrzymanie kawałek ziemi. I tak, czuwając, wróciliśmy z powrotem na gospodarstwo.

Było to ustawiczne czuwanie. W nocy się nie sypiało, a co najmniej jeden z nas nigdy nie sypiał. Jeden stałe czuwał; i tak czuwaliśmy przez całą zimę, czyniąc powoli zapasy, susząc chleb, gromadząc "rodki" piorące, jakąś odzież, i wszystkie inne rzeczy, które - gdyby ewentualnie miała nastąpić ponowna zsyłka- aby nie jechać na- gim na Syberię.

Zimę przetrwalismy szczęśliwie- ale naiwność nasza była zbyt wielka; mało znaliśmy metody działania NKWD. Mentalność Polaka była chyba taka, a nasza w szczególności, że Sybir- to zima, i na Sybir wysyła się tylko zimą, a nigdy latem. W związku z tym nasza czujność i obostrzenie naszej uwagi zmniejszyły się- i to nas zgubiło!

23 maja 1941 r., w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, o świcie, około godziny trzeciej obudziliśmy się w rękach NKWD. Złapali nas



wszystkich: Jana, mnie, Matkę, która spała w domu /my spaliliśmy w stodole, czuwając/, Władka i Alojzego. Było to straszne! Środki ostrożności ze strony NKWD i straży, która nas deportowała, były tak wielkie, że nas wysłano na Syberię niemal że nagich: w letniej bieliźnie, w letnim ubraniu, tylko w tym, co się miało na sobie. Bez żywności, bez niczego! 200 rubli mieliśmy przy sobie; prawie żadnego prowiantu nie pozwolono nam zabrać; wyrwano Matce worek maki, wyrwano jej pościel i bieliznę, nie wolno było zabrać nawet garnków. W przyszłości musieliśmy sobie żyłki dłubać z drzewa, na miejscu naszej zsyłki.

Zawieziono nas na stację Gródek Jagielloński, na tę samą, na której nas załadowywano w 1940 r., ale w jakże odmiennych warunkach, pod jaką presją, w jakim obostrzeniu i czujności władz!

Załadowali nas do wagonu numer trzynastego; oprócz nas załadowano jeszcze cztery rodziny ukraińskie: jedna z Lubienia, to rodzina Magockich, druga z Bartatowa - rodzina Górniaków, trzecia też z Lubienia, rodzina Sołowiejów, i czwarta rodzina ukraińska z Kiernicy koło Lwowa, rodzina Kosyków. Były to rodziny ukraińskie, ale w tamtych czasach myśmy mówili na nich "Rusini"; pojęcie "ukraiński" było nam bardzo mało znane czy używane.

Po skompletowaniu tego transportu w Gródku Jagiellońskim - a mogło być tych wagonów pięć albo dziesięć - nie wiem, nie zauważyłem, przewieziono nas do Lwowa.

W wagonie było nas dwadzieścia osób, można to policzyć: rodzina Magockich - trzy osoby, Gwładzowskich pięcioro, Kosyków - sześcioro, Górniaków - dwoje, i Sołowiejów czworo. Razem nie więcej jak dwadzieścia osób.

Jak wyglądało wnętrze wagonu? Otóż po lewej i po prawej stronie wagonu, po bokach, były urządzone t. zw. "nary", piętrowe; w naszym wagonie były to nary podwójne. Ulokowaliśmy się na górnej partii nar, z uwagi na to żebyśmy byli bliżej okna, aby można było obserwować i zapamiętać trasę, co nam się mogło przydać w razie



ucieczki. Innych urządzeń w wagonie nie było- ani piecyka, ani niczego; piecyk był zbędny, ponieważ był to okres letni.

We Lwowie było podobne zastrzeżenie, jak w Grodku. O jakimkolwiek zbliżaniu się kogokolwiek z cywilów zewnątrz do tego transportu- nie mogło być mowy, w przeciwieństwie do możliwości zbliżania się cywilów, krewnych, znajomych czy przyjaciół podczas wywozu 13 kwietnia 1940 r. Tutaj było wszystko rygorystycznie przestrzegane. "Nie wolno"! "Nie Izia"! Konwój prawie że używał broni.

Pamiętam, że we Lwowie następnego dnia rano próbował uciec jakiś młodzieniec z naszego transportu, może z piątego wagonu od nas. Czy uciekł- nie wiem, bo widziałem, że przebiegł przez kilka torów i upadł- ale strzelano do niego. Jak dziś pamiętam: wysoki człowiek w wojskowym mundurze; nie musiał to być wojskowy- mundur wojskowy w tamtych czasach nosiło się prawie że na codzień.

Pociąg ruszył. Jechaliśmy w stronę Rosji. Mając doświadczenie z roku 1940 postanowiliśmy, że musimy uciec, że musi się znaleźć taka chwila i taka okazja, że z tego transportu musimy zbiec. I trzeba zbiec, bo w tych warunkach, w jakich nas wieziono- to znaczy bez odzieży, bez prowiantu, bez żywności- my po prostu żywi na miejsce nie dojedziemy. Ale niestety, jak dotąd okazji takiej nie było.

Taka sytuacja nadarzyła się dopiero w Żdołbunowie. Nasz transport się zatrzymał, a od strony Związku Radzieckiego nadjechał długi, przepełniony pociąg osobowy, który zatrzymał się vis a vis naszego transportu. Kłapy naszych wagonów na szczęście nie były zamknięte, ani wagon nie był zakratowany /nie miał zakratowanych okienek/. Przygotowaliśmy się na wykorzystanie każdej okazji, byle tylko uciec. Mieliśmy około 200 rubli gotówki, i każdy z nas otrzymał teraz po 37 rubli na to, że jeśli uda się ucieczka- aby miał na bilet powrotny.

Ponieważ pociąg pasażerski się zatrzymał, ludzie wysypali się z niego wielką ławą na peron, i powstało chwilowe zamieszanie, które wykorzystaliśmy. Na pasku opuściliśmy przez okienko najpierw



młodszego brata Władysława, i natychmiast został też opuszczony drugi najmłodszy, Lolko, czyli Alojzy. Jako trzecią- opuściliśmy Matkę naszą, ale niestety- ledwo Matka dotknęła ziemi, pociąg osobowy ruszył. Gdyby to jeszcze ten pociąg powstał parę sekund, możeby się Matka jakoś do tego pociągu dostała. W takich jednak warunkach Matka do pociągu osobowego nie weszła, nie wsłoczyła, udała się tylko wzdłuż biegu tego pociągu, który jechał w stronę Polski. Ale też i konwój musiał ją zauważyć, bo myśmy już nie zdążyli uciec; pod drzwiami już stał strażnik. Matkę pojmano w Zdobnowie. Po wielu krętaactwach, próbach wykręcania się i tłumaczeń, w końcu Matka wskazała, z którego wagonu pochodzi. Przyprowadzono ją.

Słyszemy, jak odbijają siekierą czy młotem zasuwę drzwi. Odbili, i rozsuwają drzwi wagonu. Stałem z moim bratem Jasiek tak, że Matka mogła nas zauważyć- ale i nie musi. Widzi nas; w jej oczach wyczytuje niezdecydowanie: rozpoznaje nas, a jednocześnie jak gdyby prosiła naszego przebaczenia za nieudaną ucieczkę, za pokrzyżowanie naszych planów ucieczki- co zresztą było prawdą. Patrzymy na siebie; kręci biedaczka głową w lewo, w prawo, niby szuka, aż wreszcie zdecydowała się. "To tu" - powiada. Stupajki ponaglają, by weszła do wagonu. Z trudem wgramoliła się do środka; oczywiście podajemy jej rękę. Jest bardzo zdenerwowana, załamana, przestraszona, nie może złapać tchu.

Ledwie weszła do wagonu, już trzech enkawudzistów wskoczyło do wnętrza, jak psy goncze. Pierwsze ich słowa: "Gdzie twoja siemja?" /Gdzie twoja rodzina?/ Pokazała na nas ręką. Pytają nas: "Ilu ludzi liczy wasza rodzina?" Jasiek odpowiedział: "Trzech"! Inni enkawudziści w międzyczasie już dwukrotnie wszystkich policzyli, i coś im wyraźnie nie gra. Liczą jeszcze raz ogólnie, potem rodzinami, ale wciąż dwu osób brakuje! Wreszcie zdenerwował się lejtnant NKWD, nasunął czapkę i kazał lecieć "w tri miga" do służbowego wagonu "za buma-



gami" / po dokumenty/, wagonu oznakowanego "13/V/20". 4araz zaga-  
dka się rozwiąże. Czują, że ktoś im uciekł, bo stale o to pytają.  
Po chwili przybiegł strażnik z papierami. Zaczęli wyczytywać rodzi-  
nami; wyczytani przechodzą na drugą stronę wagonu. Nas odczytali os-  
tatnich: "Maria Gwiazdowska" "Jest". Jan Gwiazdowski!" "Jest!".  
Franciszek Gwiazdowski" "Jest"! "Władysław Gwiazdowski!"- cisza.  
"Alojzy Gwiazdowski!"- cisza.

Przed wszystkim zaatakowali starostę, ale bez bicia. Chodziko  
im o to, gdzie i kiedy uciekli, oraz dlaczego nie zawiadomił ich  
o tym! Chłopisko zaczyna się miąć, jąkać, aż nareszcie znalazł wytłu-  
maczenie- że spał i niczego nie widział. Pozostali tłumaczyli się  
w podobny sposób. Pytali Mamę. Jaska, mnie- gdzie ci dwaj uciekli?  
Oświadczyliśmy, że owszem, uciekli, ale jeszcze wczoraj, i we Lwowie.  
Pytają jeszcze raz, ale przez zaciśnięte zęby. Nasza odpowiedź była  
oczywiście taka sama. To ich widać zdenerwowało. Lejtnant wyskoczył  
z wagonu i dał "praikaz" "bojcam", aby zabrali Jaska.

Jasiak, biedaka, chciał coś zabrać ze sobą, chyba palto; Matka  
chciała mu coś dać do jedzenia- ale nie pozwolili. "Jemu już nie  
nie trzeba!" Ledwie wyszedł z wagonu, bez czapki, dwu żołnierzy- en-  
kawudzystów, stalinowców, chwyciło go za ręce, wykręcili je do tyłu  
i poprowadzili Jaska do przodu pociągu. Drzwi z hukiem zamknięto.  
Wychyliłem się przez okno, ale stojący tuż obok konwojent, rozws-  
cie-  
czony, zagroził strzelaniem.

Wyczułem podświadomie, że zechcą dowiedzieć się dokładnie o u-  
ciekinierach, a znałem ich sposoby wymuszania zeznań. Dlatego też  
było mi niezmiernie żal Jaska, który na pewno nie zechce niczego po-  
wiedzieć. Czy wytrzyma? - zastanawiałem się. Czy załamie się i powie?  
Bo nie było sensu ukrywać, j ko że konwojenci widzieli ucieczkę,  
tylko że byli bezsilni.

"A może go zabijają kolbami, zanim zaczną wogóle pytać?" "A może  
my pojedziemy, a jego wrzekażą do więzienia?" "A może za chwilę



przyjdą po mnie, i tak po kolei będą nas wykańczać?"- oto myśli, które gwałtem cisnęły się do głowy. Czas jakgdyby się zatrzymał; wydawało się, że upłynęło już z półtorej godziny, gdy tymczasem ktoś z wagonu poinformował, że nie upłynęło jeszcze dwudziestu minut!

Naraz ktoś zauważył i krzyknął: "Prowadzą!" "Nie, wloką!" Skoczyłem do okna. Rzeczywiście, szedł- ale nie o własnych siłach! Z głową opuszczoną ku ziemi, dwóch go wlokło! Więcej tego oglądać nie mogłem! Mama chciała się czegoś dowiedzieć, ale słowa z siebie nie mogłem wydobyć. Dał się słyszeć zgrzyt żwiru pod nogami stąpających; już młotem odbijają zasuwę- znowu rozsuwają się drzwi, i widzimy na wpół zgiętego człowieka, któremu z ust sączy się krew zmieszana ze śliną. Twarz blada, oczy błędne, oddech nierówny, świszczący, spodnie i marynarka we krwi! "Bojcy" nawet, owszem, pomogli mu wdrapać się do wagonu, poczy. szybko zamknęli drzwi i poszli. Nim jednak zamknęli drzwi, jeden z nich zdołał Matkę- staruszkę powiadomić, pokazując skrzyżowane palce- w rodzaju kretek- że "Władka i Lojzyka my pojmali, i wot stolko ich uwidisz!" /Władka i Alojzego pochwyciliśmy i tyle go zobaczysz/.

Jasiek leżeć nie mógł, wołał siedzieć. O rozmowie z nim nie było mowy. Chciał pić, a nie było wody. Pokazywał rękami na klatkę piersiową i plecy. Rozpięliśmy bluzę wojskową i koszulę, i natychmiast zrozumieliśmy: pierś była sina, i plecy również. Skoczyła więc migiem staruszka- Matka- do naszych tobołków, szybko je rozsypała, odcięła kawałeczek słoniny i zaczęła powoli, delikatnie nacierać posiniaczone ciało. Wreszcie delikwent zaczął powoli wracać do siebie. Coś tam nawet zaczął charchać, z czego wyminarkowałem, że go strasznie boli i dusi.

W tym przygnębieniu nawet nie zauważyłem, że pociąg już ruszył. Ocknąłem się dopiero na ostatniej większej polskiej stacji Sarny, ale tylko dla tego, że pociąg znacznie zwolnił, a nawet





Trasa transportu 1941 — 1943 - - - 1946 . . .

1 cm = 300 km



chwilę przystanął. Tuż obok dworca kolejowego stał duży posąg Lenina z wyciągniętą ręką, a na stacji- jak zwykle- trochę pasażerów, u których nasz transport wzbudził niemałe zainteresowanie. Postój trwał jednak tylko parę minut, poczym pociąg ruszył dalej w stronę byłej granicy polsko-radzieckiej.

Kiedy mijaliśmy tę granicę z 1939 r., zaczęliśmy w trójkę śpiewać "Pod Twoją obronę...", ale płacz nie pozwolił... Tak zostaliśmy się na długich sześć lat z naszą Ojczyzną.

Po przekroczeniu granicy jechaliśmy przez Kozyr nad Prypecią, Homel nad Dnieprem, Desnę, Briańsk nad Desną, Oriol nad rz. Oką, właśnie nad tą Oką w żołnierskiej piosence; potem Tuła, Pienza, Syzrań, Czapajewsk... Tu w Czapajewsku spotkaliśmy stojący transport więźniów ze Lwowa. Upał był niepospolity; ci ludzie jechali nadzy w tym upale; krzyczeli do nas "Lwów!", na co my odpowiadaliśmy "Lwów!".

Kujbyszew nad Wołgą, a dalej Ufa.... I tak dzień za dniem, noc za nocą... Ufa wryła mi się w pamięć z tego powodu, że gdzieś na skraju tego miasta zatrzymano nasz transport. I naraz widzimy, że w kierunku naszego transportu pędzi jakby fala dzieci i starców. Może ich było pięćset, może więcej? Konwój starał się zatrzymać tę ludzką falę, ale nie udało mu się, nawet strzałami oddawanymi w powietrze. Ci staruszkowie- Tatarzy, ta dziatwa, skacząc do naszych okien- wyciągali ręce i prosili chleba! Ogarnęło nas przerażenie: jeżeli ci ludzie, będący na wolności, od nas- więźniów, deportowanych, aresztowanych- proszą chleba, to jakim jest ich stan życia, jakie ich bytowanie na wolności? A zatem- jaki los nas czeka, skoro nas wiozą jeszcze dalej na wschód?

Ale pociąg ruszył dalej. Pierwszego lub drugiego czerwca 1941 r. -był to dzień Zielonych Świątek- przez otwarte okienko zauważyliśmy z bratem kamienny słup graniczny. Po jego jednej stronie, tej od której jechaliśmy, był napis "Jewropa"- czyli Europa, potem trzeba



było przekreślić głowę w tył, i zobaczyliśmy napis "Azja". A więc jesteśmy w Azji, jesteśmy na Uralu! Żegnaj Europo!

Dopiero tutaj, na Uralu, kiedy wjechalismy w jakiś taki dziwny wąwóz, zatrzymano pociąg na bocznym torze, i tutaj po raz pierwszy otwarto nam drzwi. Konwój zszedł ze swoich wagonów i z wieżyczek /bo przy wagonach były wieżyczki dla strażników/, otoczył nas ściśle z bronią gotową do strzału, a nam pozwolono rozprostować nasze kości, nasze nogi. Pamiętam, że kiedy zszedłem z wagonu na ziemię i zrobiłem parę kroków, wciąż wydawało mi się, że ziemia się podę mną ugina- a to tymczasem ugiwały się nam nasze nogi!

Chciałbym zwrócić uwagę na to, jakie były warunki sanitarne w wagonach. W każdym wagonie, w podłodze była wyrżnięta dziura o średnicy 15 cm najwyżej. To było wszystko; to była ubikacja. To było nasze przekleństwo! Jakżeż zaspokoić swoje potrzeby na oczach ludzi?! Robiło się zaskóne: trzech stawało, trzymało prześcieradła, a czwarty "pokutował". I tak było przez cały czas, z tym że "pokuta" była... raz na tydzień, niestety!

Ale ta nasza przechadzka na świeżym powietrzu, po Górach Uralskich trwała nie więcej jak pięć- dziesięć minut. Z powrotem załadowano nas do wagonów, odliczono, policzono, drzwi zamknięto i pociąg ruszył dalej. Minęliśmy miasto położone pośrodku Uralu: Zlatoust, a potem Kurhan nad Tobołem. Tutaj, w Kurhanie, pociąg znowu się zatrzymał, i tutaj wyładowaliśmy pierwszą zmarłą w naszym wagonie. Była to starsza pani, babcia Kosyk; zmarła mając chyba 74 lata. Wynieśliśmy ją- ją z bratem- na peron, jej syn przykrył ją prześcieradłem- i szybko- znowu do wagonu!

I tak było cały czas. Ukazał się nam Omsk, i w Omsku dostaliśmy posiłek! W tej drodze, już czternastodniowej, był to chyba posiłek piąty lub szósty. Posiłki wydawano wyłącznie w miastach wojewódzkich. Odbywało się to w ten sposób, że pociąg zatrzymywano; wzdłuż pociągu "leciał" konwojent, walił w drzwi nie wiem czym



i krzyczał: "Sobirajsia! Bieri malenkuju posudu, dwa- tri czełowie- ka i po obied!" A więc braliśmy wiadra na wodę i na to, co nam tam dadzą, jaki przydział tej zupy otrzymamy. Wody braliśmy zawsze dużo, to było dozwolone. Zupy dawali jedną, półlitrową chochlę na osobę. To się zdarzało tak raz na trzydzieści sześć godzin, raz na półtorej doby. I - jazda dalej w drogę.

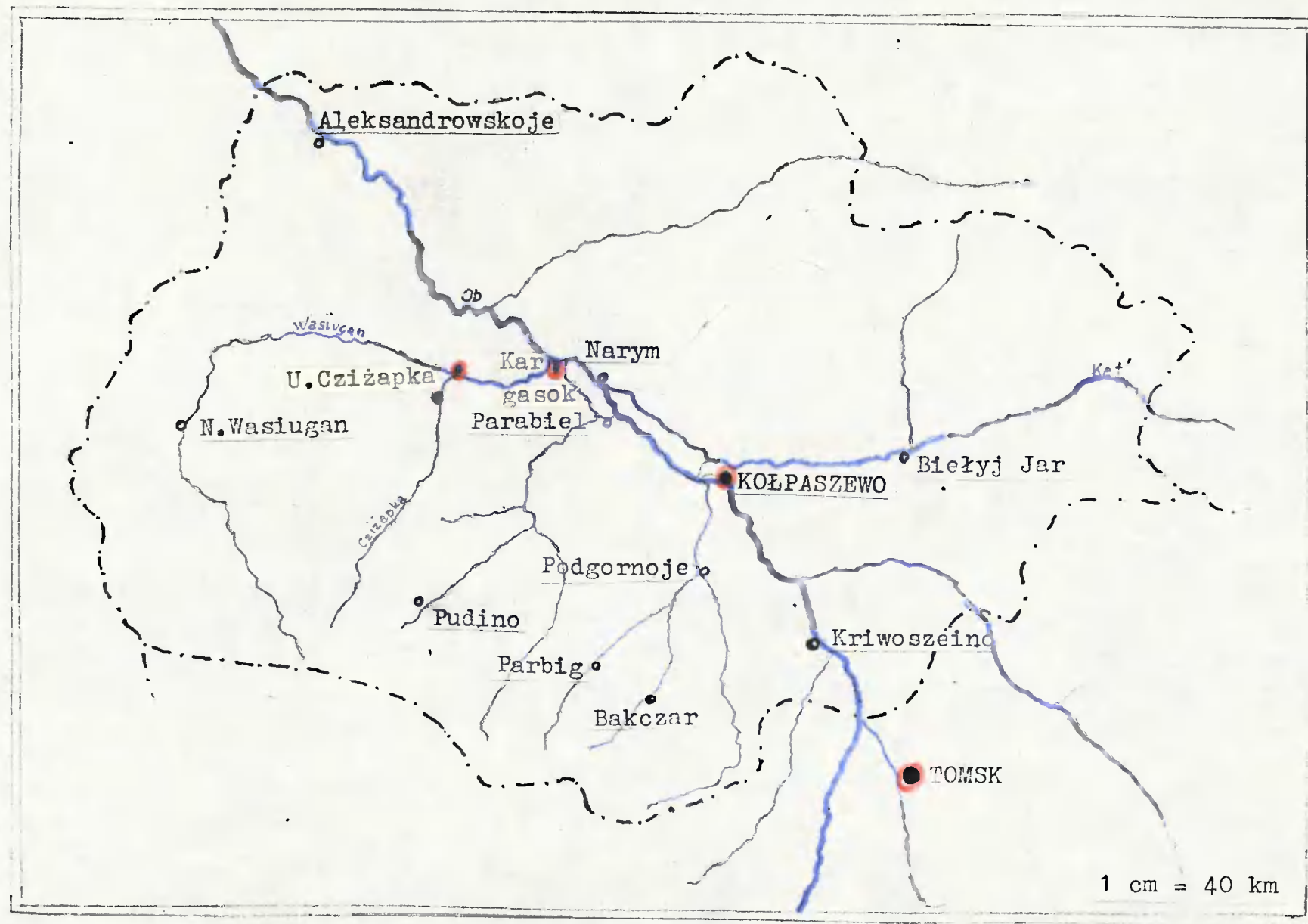
W Nowosybirsku, pamiętam, odtransportowano nas na boczny tor, wyładowano nas, i wagonami, pod ścisłą kontrolą, pędzono nas grupami do łaźni miejskiej. Proszę państwa, to była znowu tragedia! W łaźni myły się oddzielnie kobiety i oddzielnie mężczyźni, ale obsługa- czy to u kobiet, czy u mężczyzn- była mieszana! Naszą grupę obsługiwały kobiety! Ile drwin, ile kpin! A przed kąpielą dokonywano obcinania włosów: pod pachami, w kroczu, i jak były dłuższe- to i na głowie. Otrzymaliśmy tutaj również, późną nocą, posiłek, i potem z powrotem do wagonu.

Z Nowosybirska skierowano nasz transport do Tomsku, na północ. W Tomsku transport odstawiono na boczny tor na przystani, czyli skierowano nasz transport do portu rzeczno- go. Tutaj zauważyliśmy duży tartak drzewny, i - o dziwo- zobaczyliśmy tam żołnierzy polskich, właśnie żołnierzy Września! Tam w Tomsku, w pobliżu portu rzeczno- go na rzece Tom pracowali- j każdy naliczyli- może ze stu- pięćdziesięciu żołnierzy polskich, którzy pracowali w tym tartaku. Nosili bale, duże drzewa, kłose- w czterech, w sześciu; nosili deski i układali je w "sztaple"/stosy/- itp., itd. Kontaktu żadnego myśmy z nimi nie nawiązali.

W Tomsku otrzymaliśmy nakaz: wyładować swoje toboły i przejść od toru kolejowego jakieś z pięćset metrów. W pobliżu tego miejsca gdzie nas skierowano, znajdował się statek "Woroszyłow".

Pogoda popsuka się. Zakładowano nas na statek; ilu było tych ludzi- trudno mi jest dzisiaj powiedzieć, ale myślałem, że półtora tysiąca, a może i dwa tysiące, w tym siedemdziesiąt procent ludności ukraińskiej, a trzydzieści procent ludności polskiej.





OKRĘG NARYMSKI



Statek był załadowany od t.zw. "triumu", czyli od spodu po górę. Myśmy byli w górnej partii, na rufie. Spotkałem tu rodzinę Kulinowskich ze Lwowa: doktora Kulinowskiego, który był chirurgem, jego żonę, <sup>Ryszarda</sup> brata i matkę, p. Kulinowską. Jej mąż był również oficerem i lekarzem. Byliśmy bardzo zadowoleni, że spotkaliśmy z znajomych Polaków po tylu dniach podróży; mogliśmy szczerze, serdecznie ze sobą porozmawiać na temat naszych losów, co nas czeka i co myślimy.

Spotkaliśmy tu również rodzinę Pasieczników z Sądowej Wiszni: ojca, matkę i ich syna Eugeniusza. Spotkaliśmy i inne rodziny polskie, o których później postaram się powiedzieć.

Statek ruszył. Był to statek, który miał koła napędowe po bokach, taki statek, jaki widuje się na filmach na rzece Missisipi. Z rzeki Tom, która jest tak duża jak nasza Wisła, a może przesadzę - nie wiem, wtedy jeszcze Wisły nie widziałem, ale tak mniej więcej by się równała - wpłynęliśmy na ogromną, przerażająco szeroko rozlaną rzekę Ob.

A rzeka stawała się coraz szersza. Ob ze swymi dopływami, na wiosnę szeroko występuje z przegów i zalewa wszystkie niziny; powstaje w ten sposób jedno ogromne morze. Ta rzeka niesie z sobą wszystko, co może zabrać z sobą duża woda: kawałki domostw, zwierzęta martwe, dzikie i domowe, jakieś inne stare szczątki. To wszystko później, gdy woda opada, osiada w koronach drzew i stwarza makabryczny widok dla nas, Europejczyków. Stawialiśmy sobie potem pytania: kto to mógł umieścić jakieś deski, belki, kawałki psiej budy, części wozów, koła - w tych koronach drzew. Dopiero nam później wyjaśniono, że niosąc temu myśmy nad tymi drzewami pływali statkiem!

Dojechaliśmy do Kargaska, do portu rzecznego. Jest to miasto powiatowe nad Obem, w pobliżu którego wpada do Obu rzeka niewiele mniejsza od Obu - rzeka Wasilugan. Tutaj w Kargasku część deportowa-



nych natych natychmiast przekładowano na dwie barki. Mieliśmy to szczęście, że trzymaliśmy się rodziny Kulinowskich, i razem z nimi załadowaliśmy się na jedną barkę. Te obie, duże barki, wypełnione ludźmi ciągną kuter, coś w rodzaju takiego małego holownika. Statek pozostał w Bargasku, a część zesłańców, pozostałych na nim pojechała w dół rzeki Ob, w kierunku Aleksandrowska, jak się później dowiedzieliśmy, i tam właśnie po brzegach Obu i jego dorzeczach została rozrzucona. Nie się zdaje, że to było jeszcze dla nich wielkie szczęście, bo Ob był trasą uczęszczaną przez parowce- archaiczne co archaiczne, a nas powleczono barkami wzdłuż rzeki Wasiugan, i tutaj stopniowo w każdej osadzie zostawiano po cztery- pięć rodzin. Tak więc któregoś-tem czerwca, może 17., a może 15., dotarliśmy Wasiuganem do Ust Cziżapki; jest to miejscowość, którą zbudowano u ujścia rzeki Cziżapki. Tutaj niestety musieliśmy się rozstać: rodzina Kulinowska wraz z innymi rodzinami ukraińskimi została wyładowana w Ust Cziżapce, a nasza rodzina i cztery inne ukraińskie rodziny z Lubienia, Kiernicy i Bartatowa przekładowano na kółdę pięciotonową, i pod eskortą pięciu enkawudzystów kółdę tę ciągnięto w górę rzeki Cziżapki. Doprowadzono nas aż do miejsca, gdzie wpada do rzeki Cziżapka rzeka Sałat- do miejscowości Sałat.

Miało się już dobrze pod wieczór; po drodze spotkała nas wiochura śnieżna z gradem. Zimno przejmujące, kółdę nieosłoniętą, my głodni, zakałani, wśród potężnych, dziewiczych lasów przerażająco dzikiej tajgi. Wyładowano nas w osadzie Sałat.

## 2. N A D W A S I U G A N E M .

Wyładowano nas w osadzie Sałat: cztery rodziny Ukraińców i my, jako rodzina piąta, rodzina polska. Narazie nas ulokowano w takim większym baraku, który okazał się siedzibą władz kołchozowych. Rano następnego dnia przyznano nam ziemiąkę: sześć metrów długości, cztery metry szerokości, półtora metra w ziemi i dwa metry ponad ziemią. Sklecone były z bierwion, i miała dziurawy dach. "Wot Wasza Arszaawa!" /Oto wasza "arszaawa"/- powiedział nam enkawudzista.



УПРАВЛЕНИЕ Н.Н.В.Д.

— по —  
Н.-Сибирской области

КАРГАКОКСКОЕ

районное отделение

РК милиции

# УДОСТОВЕРЕНИЕ

(взамен паспорта)

Дана административно ссылному Ивзздобексы

высланному

30. июня 1937 г.

№ 2-524

с. Кargasок

Брайцелько Ис в том, что он состоит на учете в

Кергасокской ф.о. НКВД

и обязан проживать по адресу

Ивзздобексы без права выезда за пределы указанного пункта

Обязан явкой на регистрацию в Кергасокская ф.о. НКВД

Ново-Сибирской обл. каждого 2-15 числа.

При отсутствии отметки о своевременной явке на регистрацию удостоверение  
недействительно.

Зак. № 1072. Т. 15.000. 20-9-35.

Начальник Кергасокской ф.о. НКВД

М. М. Митин полковник милиции

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Дата регистрации:

24/хл 1937 г.

1.хл 1937 г.

15.хл 1937 г.

1.хл 1937 г.

Подпись

Ивзздобексы

Подпись

М. М. Митин

Подпись

М. М. Митин

Подпись

М. М. Митин

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Подпись

Подпись

Подпись

Подпись

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Дата регистрации:

Подпись

Подпись

Подпись

Подпись



Ludowy komisariat  
spraw wewnętrznych  
Zarząd NKWD  
obwodu N.-Sybirskiego

Kargasokski  
rejonowy oddział  
RCh Milicji  
30 czerwca 1941 r.  
Nr 2-584  
w. Kargasok

Wzór Nr 8

**Z A S W I A D C Z E N I E**  
/zamiast dowodu osobistego/

Stwierdza się, że zesłany w trybie admini-  
stracyjnym Gwiazdowski Franciszek s. Józ.  
pozostaje w ewidencji Kargasokskiego RO NKWD  
i jest zobowiązany do pobytu w pos. Sałat  
gminy Naunak bez prawa wyjazdu poza granice wskazanego punktu.  
Zobowiązany jest do stawienia się na rejestrację w Kargasokskim RONKWD  
Nowosybirskiego obw. każdego 1. i 15.  
W razie braku adnotacji o stawieniu się we właściwym czasie do reja-  
stracji zaświadczenie traci ważność.

Pieczęć okrągła:

"Ludowy Komisariat  
spraw Wewnętrznych  
ZSRR "  
.....

Naczelnik Kargasokskiego RO NKWD  
mł. lejtnant mł. bezpiecz. państw. / - /  
/podpis nieczytelny/

Na odwrocie potwierdzono stawienie się do rejestracji w dniach:  
27.07; 1.08; 15.08; 1.09. 1941 r.





### Dolny bieg rzeki Wasiugan.

Fragment mapy obwodu Tomskiego, 1989 r. 1 cm = 10 km

○ Miejscowości, których położenie nie jest dokładnie znane.



Chyba w tym samym dniu, gdy ulokowaliśmy się w tym niedanym baraku, bez jakiegokolwiek sprzętu, który należało samemu sobie przygotować, aby było na czym położyć się, do snu, lub może coś i zjeść, władze NKWD wręczyły nam "papierki" zwane "Udostowierenijs" /zaświadczenie/, na którym określano nazwisko, imię, imię ojca, miejsce urodzenia, oraz wskazano, że dokument ten wydaje się jako zesłańcowi /"ssylomow", bez prawa poruszania się po za tym poseszkiem. Jeżeli chciało się opuścić ten "poseszek" - tę wioskę, to należało mieć zezwolenie NKWD. O takie zezwolenie nigdy nie ubiegaliśmy się, ponieważ nigdzie sami za własnymi sprawami nie udawaliśmy się, a jeśli udawaliśmy się do Ust Cziżapki, to tylko do pana doktora Kulinińskiego po lekarstwo dla naszej Matki. Chodziliśmy po to i tak nielegalnie; nie płynęliśmy rzeką, tylko szliśmy brzegami rzeki Cziżapka. Była to bardzo ryzykowna podróż, grożąca utonięciem w bagażu albo wogóle zbłądzeniem.

Należy nadmienić, że przy wręczaniu tych "udostowierenijs" ankawudziści podkreślali, żeby zapamiętać "o waszej polsce, o Warszawie. Tutaj wam żyć, i tutaj wam umierać!" Takie były ich wróżby.

Co to była za osada- ten Szat? Osada nędzna. Głównie ziemianki; jeśli były i domy, zbudowane na żetkę, z bali cedrowych, to i tak te budynki, te nieszkanki tylko jednoizbowe, z małą obórką- obrzucano latem ziemią do wysokości metra lub półtora, z uwagi na to, że panowały tutaj przecie: zimą sześćdziesiąto sześć stopniowe mrozy, zimą w roku 1941/42! Są to mrozy siarczyste. Dopiero przy 44 stopniach mrozu nie wolno nam było pracować w lesie, przy wyrobie czy kcinaniu drzew.

Osada Szat była niewielka: liczyła 12- 14 domostw. Rodziny były tu nieliczne- cztero- lub pięcioosobowe. Dzieci tu było niewiele. Ludność stanowili Rosjanie, zesłane i szani w latach 1923 i później, jako wrogowie władzy radzieckiej, jako kukacy, obszar-



nicy, fabrykanci, carscy oficerowie- i inni. Pragnę podkreślić, że Sałatów było trzy; myśmy byli na Sałat 1. Sałat 2 i Sałat 3- to osady takich specjeresielenców /zesłańców/ z lat 1928 - 36. Każdy z tych Sałatów liczył wówczas może sto, może sto pięćdziesiąt rodzin. Na skutek prymitywnych warunków, straszliwego głodu, złych warunków sanitarnych, braku opieki lekarskiej, braku narzędzi do pracy - ich wyrzucili po prostu na brzeg! - i dawajcie sobie sami radę! Tak więc ogromna ilość tych rodzin zmarła, i z trzech Sałatów utworzono osadę Sałat nr 1, czternaście- czy szesnaście rodziną! Przyjechało nas jeszcze pięć rodzin z Europy, a więc było nas razem tam jakieś 19 rodzin.

Wokół nas była niezmierna, ogromna tajga i głusz syberyjska. Niebotyczne cedry, grube do 80 cm i do metra; olbrzymie świerki i sosny; brzozy; inne nieznane mi drzewa, i mnóstwo ozeremchy oraz iwy. Tutaj, w środku tej tajgi- dżungli, w której- podejrzewam, że w niektórych miejscach jeszcze stopa ludzka nigdy nie była- a jeśli była, to ten człowiek zginął- otaczało nas mrowie ogromne muszek i komarów. Była tu różnego rodzaju zwierzyna: dzikie koty, jakieś rosomaki, niedźwiedzie brunatne. W tych zgniłych, powalonych wiekiem i przez burze drzewach, w spruchniałych i zgniłych balach i pniach mieściła się ogromna ilość różnego rodzaju węży: z skrońców i innych, może jadowitych, oraz innych potworów, o których tam u nas, w dzieciństwie moim mogłem jasno słyszeć, ale ich nie widziałem.

Tajgę, naogół mroczną, miejscami rozjaśniały prześwity bagienne, porośnięte młodziakiem i trawami, tużnie iwa /to t ki krzew/. Prześwity stanowiły połacie lasu wypalonego przez pioruny lub przez ludzi. Wypalona tajga była potem łatwiejsza w karczowaniu, a drzewo pozbawione przez ogień żywicy- lżej się rżnęło.

Praca była tylko w lesie. Ponieważ w Sałacie był kołchoz, który cierpił na brak ziemi, przeto nas zapędzono do karczowania tej dzikiej tajgi. Karczowaliśmy ją od rana do wieczora, co dnia, aż do zimy. Wszystko to robiliśmy ręcznie, bez żadnych mechanicznych



urządzeń. Podstawowym narzędziem była siekiera, a do ścinania drzew służyła piła, z lichej stali.

Jakież było wyżywienie? czterysta gramów chleba na pracującego; Matka moja otrzymywała 150 g, ponieważ pracować nie mogła, jako że już była i starsza, i z ogromnymi przeżyciami, i stale skarżyła się na serce. Tak więc obaj z bratem musieliśmy ciężko pracować, ale na nasze szczęście mieliśmy jeszcze Matkę, bo ta biedaczka mogła zbierać trochę jagód i grzybów, które się sprzedawało, i za te pieniądze mogliśmy wykupić kilogram chleba; inaczej nie wiem, jakby wyglądało nasze życie. Poza tym gotowała nam te grzyby; poza tym myśmy zbierali jeszcze w lesie, idąc do domu, taką roślinę, którą tamtejsza ludność określała jako "kołba". U tych nieszczeniaków Rosjan prosiliśmy o obierzyny albo jakieś ziemniaki, albo braliśmy a conto w tej spółdzielni jakąś mąkę, i Matka gotowała z tej kołby i z tych grzybów zupę. Do tego kruszyliśmy chleb, któryśmy dzielili na trzy części; gotowało się tego całe wiadro, doskownie - dziesięć litrów! Mieliśmy do Matki żal i pretensje, że ona leje nam mało wody, bo byliśmy stale głodni.

Po zjedzeniu tej ilości nędznej zupy mieliśmy żołądek "wypart" przed nami, ale po dwudziestu minutach, po pół godzinie wszystko to zostało przefiltrowane przez nerki i wydalone - i dalej byliśmy głodni. Najbardziej dokuczał głód, straszny głód.

Brak środków do prania, brak mydła - powodował, że gryzły nas wszy - dorodne wszy, grube jak ziarno pszenicy! I ogromna ilość pluskw, które żarły nas nocą, razem z komarami.

Nim się położyło spać, należało ziemiankę wykadzić, gdyż komary uciekały z zadymionej ziemianki. We właściwym czasie należało zamknąć drzwi i dopiero wtedy można było spać - ale i tak komary naszły z powrotem w jakiś sposób! Albo nie zostały wykadzone wszystkie, albo naszły z powrotem w jakiś sposób poprzez uchylone czy niedomknięte drzwi. W nocy - pluskwy i komary, w dzień - muszka nam dokuczała.



Jak wspominałem, w pierwszych dniach pobytu w Sakacie otrzymaliśmy "udostowierenijs". Miał taki dokument, z którym w dniach pierwszego i czternastego każdego miesiąca należało się meldować w NKWD. Wyglądało to w ten sposób, że w tych dniach enkawudzista przyjeżdżał do nas z Ust Czizapki i podpisywał się; miał on nazwisko Griszajew. Nie trwało to jednak tak długo, jak chcieliby enkawudzisci.

Chciałbym tu zwrócić uwagę na bardzo ważny moment, moment niezwykle dla nas korzystny i niezwykle radosny. Był to dzień, w którym dowiedzieliśmy się o napadzie Niemiec hitlerowskich na ZSRR. Byliśmy akurat przy ciężkiej pracy na karczunku. Wracamy do domu, i naraz zauważamy, że w tym naszym osiedlu, w tej głuszy-panuje jakiś ogromny i ożywiony ruch. Powłóczyliśmy nogami ledwie ledwie, ostatkiem sił, i napotkaliśmy pierwszego z tutejszych mieszkańców. Pytamy się - co to znaczy, że jest tu takie zgromadzenie obok kuźni. Odpowiadają nam, że Niemcy wypowiedziały wojnę, że Rosja jest w stanie wojny! Zaznaczam - że było to dla nas niezwykle budujące! Ale na ile budujące było dla tamtejszej ludności, to proszę sobie wyobrazić Ci, którzy byli tam na wieczne zesłanie skazani, naraz dowiadują się, że władza radziecka, komunistyczna, jest zaatakowana! Ta ludność święcie wierzyła w to, że prędzej czy później ten reżim, ten ustrój upaść musi.

Kiedy to było? Wiemy, że wojna wybuchła 22 czerwca. Dowiedzieliśmy się mniej więcej gdzieś na początku lipca. Natomiast około piątego - szóstego sierpnia, w lesie na karczunku odszukał nas jeden z tamtejszych mieszkańców i kazał nam natychmiast wszystko odkładać i śpieszyć do kancelarii. Była mniej więcej druga po południu. Wprowadzono nas do tej "kantory" - kancelarii, w tym baraku, w którym przespaliśmy pierwszą noc. Przyjechało dwu enkawudzistów i oświadczyło, że na mocy porozumienia władz polskich, generała Sikorskiego i Rady Najwyższej ZSRR - jesteśmy wolnymi obywatelami polskimi, i mamy prawo przebywania w miastach drugiej i trzeciej kategorii i na



całym obszarze ZSRR za wyjątkiem strefy przyfrontowej oraz Moskwy i Leningradu. Wydano nam zaświadczenia, gdzie było napisane, że jest to na mocy odpowiedniego porozumienia itp., itd. To był niezwykle pamiętny dzień! Tym bardziej pamiętny, że my urosliśmy w oczach ludności miejscowej i w oczach naszych współtowarzyszy ukraińskich- że my jesteśmy Polakami, i że my tu nie musimy umierać, i że nasza mitrega, nasza udręka, nasze dni głodu i ciężkiej pracy kiedyś się skończą, że mamy za sobą nasz Rząd, że to jest Sikorski i nasze władze, które o nas upominają się.

Dowiedzieliśmy się, że organizuje się Armia generała Andersa, i że my będziemy wkrótce jej żołnierzami, i że my z tego Szkatu będziemy mogli- wcześniej czy później, jako wolni ludzie- wyjechać. To trzeba mieć wyrok dwudziestu pięciu lat katorgi, aby zrozumieć jak wielkie moralne znaczenie miała ta umowa, podpisana przez Sikorskiego. Uratowała ona tysiące istnień Polaków, będących właśnie tam w tym dorzeczu Obu, Wasiuganu, Tymu i tych wszystkich innych rzeczek, skończywszy aż na Aleksandrowsku- i jeszcze może niżej, aż do brzegu Oceanu Lodowego.

W międzyczasie pogrzebaliśmy drugą osobę z rodziny Górniaków; było ich tylko dwoje starszaków. Zmarła starsza pani Górniak, to była osob. narodowości ukraińskiej. Jej mąż i ona pracowali na t.zw. "skipidarnym zawodzie" /wytwórni terpentyny/. Był tam taki kocioł, w którym gotowano pnie cedrów lub sosen, wykopane najpierw i opłukane. Przez gotowanie odciągano z nich terpentynę. Pani Górniak zmarła przed Bożym Narodzeniem w 1941 r. My z brytem trzy dni kopaliśmy grób! Spaliliśmy z dziesięć metrów kubicznych drzewa, aby ziemię rozmrozić. Niestety, ten grób wykopany był nie więcej jak na 50 - 70 cm. To jest wieczna zmarzlina! Proszę państwa, w lecie na dwa sztychy łopata kopnąć jeszcze można było, ziemia była jeszcze rozmrażnięta, a dalej już zmarzlina.

Miejscowi odradzali nam kopania tego dołu. Mieli swój sposób grzebania zmarłego: polewało się go wodą i wystawiało na mróz. Woda się ścinała i nieboszczyk zamarzał, jakby w szkłe był wtopiony, i



tam się go później przysypywało ziemią. Myśmy skłecili jakąś lichą trumienkę i takżesmy ją pogrzebali. Czy ten nieboszczyk nie popłynął w czasie większych roztopów rzeką Sałat, Cziżapką, Wasiuganem i Obem do Oceanu Lodowatego- trudno mi powiedzieć, bo przy wielkim wylewie tych rzek, przy ogromnej powodzi, rzeka wynosiła wszystko, co się dało wymyć.

Po za Polakami oraz ludnością narodowości ukraińskiej, w górze rzeki Cziżapki osiedlono w 1941 r. również ludność pochodzenia estońskiego. Ludność ta niezwykle bogata, bardzo rosła i urodziwa! Zetknęliśmy się z nimi tutaj, na Sałacie, ponieważ byli oni używani do transportowania skór zwierzęcych, futer, garbników, dranki i mrożonego runa leśnego z górnego biegu Cziżapki w dół. Transportowali to na reniferach, zwanych tu "oleniami". Osada Sałat była ich miejscem noclegu, tych Estończyków. Ponieważ wieczory tam się zaczynały już o godzinie drugiej, więc to się wiedziało, czy ktoś z nich przyjechał, czy nie. Wszystkich nowych przybyszów z dolnego biegu i z górnego biegu Cziżapki i skąd inąd- wypytywaliśmy. W tym wypadku porozumiewaliśmy się wyłącznie po rosyjsku, aczkolwiek słabo oni władali językiem rosyjskim; "kałaczyliśmy" się też trochę i po niemiecku. Pamiętam, w jaki sposób dogadaliśmy się, kim oni są, a kim jesteśmy my. Tłumaczyłem im, że jestem ze Lwowa /bo z Rodatycz jestem/. Otóż jeden z tych Estończyków powiedział zaraz, z miejsca: "Jak Lwów- to Poland, a jak Poland- to z mucił hejnał miasta Krakowa! A więc z Tallina chyba był, albo z jakiegoś innego miasta, miał widać radio, a może był amatorem-krótkofalowcem, dość że znał hejnał. W ten sposób z nimi porozumiewaliśmy się.

W górze rzeki Sałat, na t.zw. Osiedlu Trzynastym- bo trzeba wiedzieć, że nie wszystkie osiedla tam miały swoje nazwy, niektóre miały numery; następne osiedle od nas w górę Cziżapki to był Piątoj czyli piąte osiedle, a więc pierwszego, drugiego... aż do czwartego nie było, widać ludzie wyginęli albo skoncentrowali się w Piątym. Potem było dopiero Trzynaste, czyli znowu wypadają wszystkie niższe



numery. Na tym Trzynastym byliśmy jesienią, gdzieś może we wrześniu, bo tam był młyn i tam posłano nas, abysmy zawieźli do młyna na przemiał cztery tony żyta. Tam na tym Trzynastym również spotkaliśmy Antoniczyków. Rozpoznawaliśmy się po tym, że ja miałem na sobie gimnazjalny płaszcz z takimi niebieskimi wypustkami na mankietach.

Byli to niezwykle bogaci ludzie, bo niektórzy nie pracowali - jeszcze! Trzeba wiedzieć, że zabrali ze sobą ogromny majątek: złoto, biżuterie, odzież i wszystkie inne rzeczy. Wyniesiono to za żywność. Wp. za taki pierścionek, dzisiaj wartości w Polsce w 1991 r. dwieście milionów złotych... dwa wiadra kartofli można było kupić u tantejszej ludności!

Zimowe wieczory były bardzo długie, jeść się strasznie chciało. Trzeba było w jakiś sposób ratować swoje życie, więc dawała nam tantejsza ludność obierzynny; zimą czasami się ukradło gdzieś w piwnicy kołchozowej troszkę ziemniaków; jak się zimą pracowało w magazynie przy zbożu, to była frajda, bo się ukradło do domu ze dwie kleszenie ziarna, grochu czy jeszcze czegoś. Więc to z tym chlebem i tymi obierzynami wyproszeni u tych ludzi stanowisko dla nas jedyne pożywienie.

Oświetlenie tam wyglądało tak: znajdowało się stare, jeszcze carską gilzę, nabój artyleryjski; tę gilzę napełniało się terpentyną, wkładano się tam kawałek szmaty, sokaszczyło się koniec gilzy i zapalało się. Nazywało się to "kopciłka". Była to straszna rzecz! Ta "kopciłka" niezwykle kopciła, no ale rozjaśniała mroki naszej ziemiutki. O elektryczności mowy nie było. Jedyne lampy naftowe, którą używano, była zapalana wtedy, kiedy przyjeżdżał na Sałat komendant z Ust Cziżapki, Krecztow. Wtedy mu zapalano lampę, i wtedy zwoływano zebranie, i enkawudzista Krecztow podsumowywał pracę i plan gospodarczy oraz inne sprawy: nagany, kary karceru więzienia, a także wysokość kontyngentów tego osiedla. Wtedy zapalano naftową lampę! Była ona niejako atrybutem władzy NKWD.



nań zniewolonymi. Normalnie w każdej chatce, w każdej ziemiance tliła się kopciłka.

Poczta do nas dochodziła raz w tygodniu, z opóźnieniem pięciu a może i sześciu dni. Poczta posługiwała się w zaprzęgu "oleńcami"; było to zwierzę podobne do naszych zwierząt leśnych typu sarny, tylko z dużymi rogami. Uprząż st nowiły pasy skórzane, i pomiędzy nogami puszczano im ten postronek. Zaprząg st nowiły przeważnie trzy pary. Poruszało to się dość szybko; "oleni" wlokły za sobą długie sanie, cztero- czy pięciometrowe, wąskie na metr, i wiozły pocztę i różne inne przesyłki, czasami nawet i gazety "Siewiernaja Prawda".

Chciałem powiedzieć, że często bywalismy w "kantorze"- dla tego tylko, że w kantorze była duża mapa Związku Radzieckiego. Szczególnie nas interesowało określenie naszego miejsca pobytu. Nie wiemdlaczego myśmy nie mogli znaleźć na tej mapie Sałatu; znaleźliśmy Wasiugan, była Ust' Cziżapka- a nie było rzeki Sałat. Tą mapę studiowaliśmy całymi nieraz nocami, robiliśmy wykresy, spisy nazw miejscowości, jakie tam można było odnotować, bo planowaliśmy prędzej czy później wyjechać albo uciec z Sałatu. Pragnę nadmienić, że to, że odwołano czy zdjęto z nas wyrok, ten dekret, na mocy którego byliśmy skazani na lat dwadzieścia pięć - to nie oznaczało jeszcze wcale naszej wolności, myśmy się mylili. Nad nami był każdy inny, wyznaczony przez NKWD, który nas pilnował! I nie było ważne to, że uchylono wyrok, że Stalin z Sikorskim się porozumieli; ważne było to, że my tutaj jeszcze musimy być. Oni muszą wykonać plan, a plan musi być wykonany, bo trwa zaciekle walka na froncie, i ucieczka nasza mogłaby osłabić siłę frontu.

Tak więc ten sam niewolnik, który został zesłany w 1928 roku- zabronił nam absolutnie opuszczania tego osiedla. A enkawudziści Gryszakow wcalego za to nie ganił, a właściwie go popierał! Myśmy jednak postanowili z tego osiedla umknąć. A było to tak:



Pan dr Kulinowski był osiedlony w Cziżapce; po wybuchu wojny z Niemcami władza radziecka zabroniła mu karczować las i tajgę, a wzięła go do szpitala, ponieważ lekarza ze szpitala powołano na front. Otóż pewnego dnia, będąc u pani Kulinowskiej w Ust' Cziżapce dowiadujemy się, że pan Michał jest nieobecny, ponieważ jest w szpitalu i chyba się z nim nie zobaczymy. Ale postawiliśmy na swoim. Była niedziela, dotarliśmy do szpitala; pan Michał był tam chyba ordynatorem. Bardzo się nami ucieszył, a my tym bardziej, bo mogliśmy od niego otrzymać lekarstwa, które on ze swojej podręcznej, prywatnej apteki dawał naszej Matce. To ją trzymało przy życiu. Były to krople nasercowe i inne, które zażywała wedle wskazań dra Kulinowskiego.

Po pewnym czasie otrzymujemy list od doktora Kulinowskiego z Kargaska. Było to już chyba w styczniu 1942 r.; w tym liście dr Kulinowski nas powiadamiał, że został znienacka "ewakuowany" z Ust' Cziżapki i jest w tej chwili w Kargasku, to jest w mieście powiatowym. Został mianowany ordynatorem wydziału chirurgicznego w szpitalu w Kargasku! W tymże liście informuje nas, że są zdrowi, że jest mu tutaj dużo lepiej niż w szpitalu w Ust' Cziżapce, już nie porównując z okresem, kiedy karczował las. Pisał też, że w Kargasku został powołany t.zw. Mąż Zaufania, i jest nim p. Józef Scheiger, który zbiera wszystkie dane o ludności polskiej z tego rejonu. Poleca nam napisać list z wszystkimi danymi o sobie. Tak więc była to dla nas ponowna- w tej mrocznej chwili- wielka radość.

Szybciutko więc odpisaliśmy doktorowi Kulinowskiemu, i jednocześnie do p. Scheigera napisaliśmy też list: że jesteśmy tutaj na Sałacie, że jest nas tutaj troje, że są jeszcze cztery rodziny ukraińskie, i wymieniliśmy, które- i prosimy go, zaklinamy go na Boga! aby się nami zajął, aby w jakiś sposób nam pomógł wyrwać się z tego piekła, z tego domu niewoli, z tej strasznej kaźni.

Po pewnym czasie otrzymaliśmy drugi list- od p. Scheigera, i otrzymaliśmy trzasta rubli. To były dla nas ogromne pieniądze!



Myśmy tam dziennie zarabiali rubel- dwa, a zdaje się, że 92 kopiejki płaciliśmy za chleb.

Tak więc postanowiliśmy najpierw rozliczyć naszą roboczną, uporzędkować sprawy finansowe, zadłużenie nasze wobec kołchozu, i rozliczyć się z kołchozem za naszą roboczną- bo pracowaliśmy ciężko dzień w dzień. Gdzieś też w styczniu otrzymaliśmy rozliczenie: potrącono nam nasze zaliczki w postaci ziarna, mąki czy grochu, i otrzymaliśmy za półroczną pracę w liczoną dniówkę. Wyliczyli nam dniówkę: siedemnaście dekagramów żyta dziennie! Każdy z nas dziennie nie tyle zarobił! Oto wartość naszej ciężkiej pracy- karczowania! Z tego tytułu pozostało nam po rozliczeniu chyba ze czterdzieści kilo ziarna, które w tym kołchozie zamieniliśmy na mąkę.

I teraz zachorowała nam Mama, więc odwieźliśmy ją do szpitala do Ust' Cziżapki; ale niestety pana Kulinowskiego już tam nie było, więc opieka była licha. Wykorzystaliśmy nieobecność Matki w Sałacie i jej pobyt już w Ust' Cziżapce. Jedna z rodzin ruskich okazała nam pomoc, i upiekła z tej naszej mąki kilka bochenków chleba na drogę; resztę mąki zachowaliśmy, Pani Wiera Karotkina narobiła nam trochę żytniego makaronu z tej mąki, a resztę zamieniliśmy na ziemniaki gotowane i zamrożone, i troszkę soli! Tam był chroniczny brak soli!

Załadowaliśmy to któregoś dnia na sanie, umówiwszy się z tamtej- szym kołchoźnikiem, który udawał się do Ust Cziżapki w delegacji. Tytułem ryzyka daliśmy jemu pięćdziesiąt rubli- a było to duże ryzyko

Podjechał on pod naszą ziemiankę rano, około godziny czwartej- piątej; załadowaliśmy, cotam było naszego- z pościeli i żywności, pożegnaliśmy się z pozostałymi naszymi towarzyszami, którzy nam towarzyszyli od Gródka po Sałat, i uciekliśmy nocą do Ust' Cziżapki.

W Ust' Cziżapce, jak wspominałem, była w szpitalu nasza Mama. Już poczuła się trochę lepiej, ale w związku z tym powstał nowy problem: jak chorego człowieka, nie w pełni wyleczonego, przetransportować z Ust' Cziżapki do Kargaska, do pana Kulinowskiego? Jaka to była odległość, dwieście czy trzysta kilometrów, mniej czy więcej-



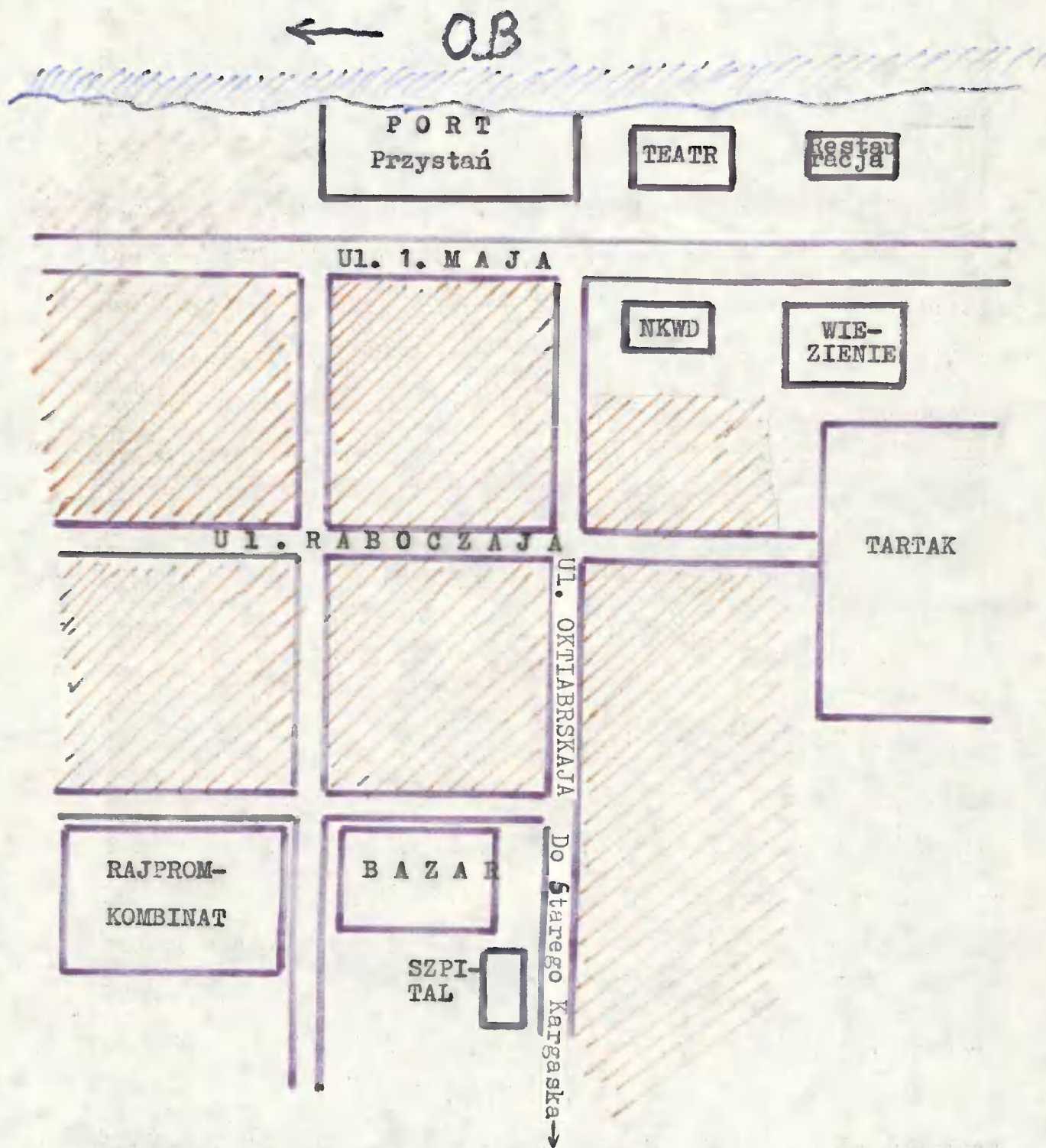
trudno nam było ocenić. W każdym bądź razie ta podróż trwała-  
jak się później okazało- z dziesięć dni. Najpierw chcieliśmy je-  
chać sankami; kupiliśmy nawet sanki i chcieliśmy na sankach Mat-  
kę wieźć <sup>1)</sup> we dwójkę. Ale na "postojącym dworze" trafił nam się ja-  
kiś Tunguz, jadący do Kargaska, który wymieniał jelenie czy reni-  
fery na konie. Stanęła umowa: my jemu dajemy 300 rubli za przewie-  
zienie nas i Matki, pod warunkiem, że połowę należności płacimy  
z góry, a połowę na miejscu; on zaś zastrzegał sobie, że bierze  
tylko Matkę na sanie, my natomiast musimy tę przestrzeń przejść  
pieszo. Umowa stanęła.

Tak więc zaczęła się ta podróż, szczęśliwa podróż, wielce ra-  
dosna ucieczka z piekła. Miało to miejsce może w połowie marca;  
właśnie czas taki był najdogodniejszy: było troszkę cieplej, nie  
było tych strzelających, 66-cio stopniowych mrozów, a rzeki Wasiu-  
gan i Ob jeszcze się trzymały w lodowych okowach. Nieco później u-  
cieczka byłaby niemożliwa. I tak w Wielki Piątek dotarliśmy do  
Kargaska.

Przybywszy do Kargaska, przedewszystkiem udaliśmy się do pana  
doktora Kulinowskiego, do szpitala. Chodziło nam o to, aby on do-  
konał niejako przeglądu zdrowia naszej Matki i wsparł jej zdrowie  
możliwie dostępnymi dla niego lekami. Wszak był to nasz przyjaciel  
i uczestnik tej doli i niedoli. Spotkanie było bardzo "płaczące";  
bardzo się ucieszył naszym powrotem, i skierował nas do swej mał-  
żenki, p. Wandy, która nas poczęstowała i herbatą, i chlebem i  
czym tylko mogła. Następnie skierował nas do p. Scheigera, tamtej-  
szego Męża Zaufania. Idąc tam, zobaczyliśmy z daleka na domu, w  
którym mieściło się biuro Męża Zaufania, biało-czerwoną flagę! To  
była dla nas wielka radość, i płacz- bo przecież zdawało się, że  
jesteśmy w takim malutkim kawałeczku naszej Polski kochanej! Tu  
jest biało- czerwona flaga!

Staruszek Scheiger przywitał nas bardzo serdecznie, całą  
naszą trójkę; słyszał o nas od d-ra Kulinowskiego; udzielił nam







pomocy finansowej. W przyszłości opiekował się nami równie serdecznie przy podziale darów, które otrzymywał z Nowosybirska bądź z Kołpaszewa- czy też wspomagając nas pieniężnie. Była to dla nas wielka pomoc. O tym, jak dalece podbudowała nas ta biało-czerwona flaga, tego się opisać nie da, tego się powiedzieć nie da! Byliśmy ponownie Polakami! Byliśmy między swoimi! Byliśmy w Kargasku!

Znaleźliśmy sobie kwaterę na brzegu rzeki Ob- tej rzeki, o której marzyliśmy, bo to już była wielka arteria komunikacyjna, po której jeździły duże statki; to było okno nasze na świat.

Kargasok- to było takie większe osiedle, duża wioska. Był tam nawet teatr;<sup>2)</sup> była restauracja; o więzieniu nie będę mówił, bo t o musi być! Był tam oddział NKWD i milicji, duża przystań dla statków parowych- "parochodow", no i różne zakłady pracy, a więc spółdzielnie wielobranżowe, różne spółdzielnie rybne, spółdzielnie leśne; była ręczna wytwórnia cegieł, były też młyny.

Kargasok- to miasteczko, które posiadało nawet drewniane chodniki, na palach. Poniżej tych chodników- to istne wielkie bajoro w czasie deszczów, wiosną, czy też na jesieni. Były tu zakłady połowu ryb, przetwórstwa runa leśnego, zakłady produkcji drzewnej: wytwarzano tu narty, kolby do karabinów, beczki, i in e. Tu też była główna centrala spławu drzewa; stąd holowniki ciągnęły "płoty"- t.zn. tratwy- duże, pięćsetmetrowe, i mniejsze, trzystametrowej długości w górę rzeki Ob, do Tomsku, gdzie właśnie był duży tartak. W Kargasku była nawet elektryczność, wytwarzana za pomocą prądnicy. Było to słabe, światło mrugało- ale było. Szpital się nią posługiwał, władze NKWD- no i w więzieniu tliła się zawsze żarówka pod samym sufitem. Jak wspomniakem, była tu i restauracja, w której jednak naogół nic nie było, a jeżeli- to najwyżej był "rieoczyk", t.j. jarząbek, którego cena wynosiła 30 rubli. Raz jeden odwiedziliśmy tę restaurację i zamówiliśmy sobie herbatę z solą! Bo na brak soli cierpieliśmy chronicznie! Szklanka herbaty kosztowała 2 ruble, ale już wtedy stać nas na to było, bośmy pracowali.



W odległości jakichś ośmiu kilometrów od Kargaska znajdował się t.zw. Stary Kargasok, w którym była stara, rozwalająca się cerkiewka, i był tam też - urzędujący nielegalnie- stary pop!

W Kargasku, po zakwaterowaniu- jak powiedziałem- na brzegu Obu, spotkaliśmy grupę Polaków: panią generałową Zaruską Marię /inni mówią, że Izabellą/sędziego Szczepana Piątkowskiego; Szczepana Drewienkiewicza, pana Jana Andresa, pana Orlutę i innych, którzy zostali tutaj przed nami przywiezieni rok wcześniej. Przypominam sobie takie opowiadanie p. Piątkowskiego i Andresa:

Otóż przywieźli ich wiosną 1941 roku jako więźniów, w liczbie dwunastu<sup>3/</sup>. Osadzono ich tu w więzieniu /więzienie było drewniane/ i po kilku dniach wypuszczono na wolność. Więźniowie początkowo ucieszyli się, ponieważ przestali być więźniami. Po całodziennym zwiedzaniu miejsciny, jaką był Kargasok, zbliżył się wieczór i od czuli głód. Nikt więźniów na zakwaterowanie przyjąć nie chciał, nikt też ich zatrudnić nie chciał, więc- rada w radę- postanowili na noc wrócić do więzienia. Straż więzienna odmówiła ich przyjęcia, wówczas wyszukali jakiś duży drąg, i tym drągiem wszyscy, jak ich było dwunastu- uderzali wspólnie w więzienną bramę! Po kilkunastu takich uderzeniach mogło grozić wywalenie bramy, a jednocześnie zdenerwowało to straż. Więc strażnicy, zdenerwowani, wyszli, otworzyli bramę i osadzili "gości" w więzieniu. Wtedy ci, we wspólnej celi zaczęli szturmować drzwi celi, skolei domagając się jedzenia. Przyniesiono im skądś to jedzenie i chleb i nakarmiono ich.

W porządku! Przespali noc. Rozkosz!- powiada pani generałowa Zaruska: sucho, ciepło, jeść dali rano, nawet czaj i 500 g chleba! Ale to się skończyło- otworzyli drzwi i wyprowadzili na dziedziniec, otworzyli bramę i wrota za nimi zamknęli. "Paszoł won!"

Powstała sytuacja jak poprzedniego dnia: zwiedzanie, łażenie bez celu - a na wieczór ten sam drąg, a może inny, i ponowny szturm na więzienie! Zdenerwowało to znowu straż, a nawet komendanta, którego wezwano. Ten ich strasznie złażał:" Co to za naród, ci Polacy!



Sami się pchają do więzienia! Co to za nacja! Wogóle- co to jest wart ten naród polski, co który się do więzi nie pcha!" Ale więzienie otworzono i ponownie, tak samo- nakarmiono, a potem sen do białego rana. Rano dali śniadanie: czaj, po kawałku chleba - ale już nie wypuścili! A więc jakaś niespodzianka, tylko jaka? Otrzymali jeszcze nawet obiad, ale dalej ich nie wypuszczają. Wiec rada w radę- oceniono, że jest źle! Może ich dalej będą trzymać w więzieniu? Tymczasem otworzono drzwi, wyprowadzono już parami, pod strażą, załadowano na łoża, podjechał kuter- i całą dwunastkę wywieziono z Kargaska kilometrów chyba dwanaście albo i więcej do pierwszego osiedla pod Kargaskiem, do t.zw. Bondarki. Wyładowano ich tam na brzeg i przykazano tamtejszej władzy kołchozowej aby się nimi zaopiekować, ma nad nimi trzymać straż, z zabezpieczyć ich w mieszkaniu i co potrzebne do życia, i nie wolno, aby oni wrócili stamtąd do Kargaska!

Oczywiście, powrót z Bondarki do Kargaska nie był łatwy, ponieważ było to jednak tych dwanaście czy piętnaście kilometrów. Niemniej jednak i pani Zaruska, i cała ta dwunastka po pewnym czasie znalazła się z powrotem w Kargasku- ale już w tym czasie, kiedy Niemcy "zbawienie" uderzyli na Rosję, i kiedy nas przestali uważać za wrogów ludu radzieckiego, kiedy Sikorski z nimi nawiązał stosunki, kiedy z nas zbijano ten ciężar 25 lat zesłki, czy tam ilus lat więzienia.

Powiedziałam "zbawienie" śląk Niemców- a to tylko dla tego, że w przeciwnym wypadku już byśmy dawno nie żyli, a kości nasze znajdowałyby się rozrzucone po tajdze, czy pływałyby na dnie Sakatu, Kasiuganu albo Obu.

W Kargasku pracowaliśmy najpierw w Hajpromkombinacie- to było taka spółdzielnia wielobranżowa. Potem z tego przedsiębiorstwa przerwaliśmy się do zakładu mleczarskiego, i w tej mleczarni budowaliśmy lodownię. Zaczęliśmy tę budowę wiosną, budowaliśmy ją latem; zimę mieliśmy tam grzać się śnieg, trociny i to wszystko



miało tam służyć jako "urządzenie" chłodnicze na następny rok. Niestety, nie było nam dane doczekać uruchomienia ; tej lodowni myśmy nie skończyli, bo nastąpił zwrot: pogorszenie się stosunków polsko-radzieckich. Wypłynęła wtedy sprawa Katynia, wyprowadzenia Armii Andersa do Iraku i Iranu, oraz inne kwestie- wszystko to zaogniło sytuację na tyle, że rozpoczął się "taniec śmierci", szczególnie po zerwaniu stosunków rządu emigracyjnego z rządem radzieckim. Wtedy władze NKWD postanowiły z powrotem wysłać Polaków do tych miejsc, skąd uciekli. Nas zamierzano wysłać na Sałat, panią generałową Zaruską i innych- do tej Bondarki, jeszcze innych do Naunaku, jeszcze innych do Aleksandrowska. A Polaków było w tym mieście około 150, a może więcej- trudno mi coś dokładniej powiedzieć. W każdym razie było nas tam sporo. Spotykaliśmy się, wzajemnie podtrzymywali na duchu- i okazywali sobie nawzajem pomoc.

Kiedyśmy pracowali w tej mleczarni, mieliśmy szansę wyniesienia nielegalnie stamtąd przerobów takich jak twaróg czy maślanka. Zgłaszała się po nie codziennie pani Zaruska, przychodził pan Piątkowski czy Drewienkiewicz; byli to ludzie, którzy nie pracowali, byli po prostu słabi, niezdolni do pracy, po prostu męczyli się. Trzeba było ich w jakiś sposób wspierać, i to już wtedy w tym "drugim kryzysie", jak ja to nazywam- w tym czasie tańca Polaków ze śmiercią.

Dopóki jeszcze funkcjonował powiatowy Mąż Zaufania i te stosunki jako tako się układały, nasze warunki bytowania były troszkę łatwiejsze, bowiem pan Scheiger, jako Mąż Zaufania, utrzymywał ścisły kontakt z Nowosybirskiem. Konsulem polskim był tam dr Julian Maliński, a poza tym w Kołpaszewie była składnica tych darów, przewożonych z Nowosybirska do Kołpaszewa, i Kargasok otrzymywał je dopiero z Kołpaszewa, a w Kołpaszewie był Mężem Zaufania- powiatowym czy rejonowym- pan Mickiewicz. Stanisław zdaje się- imienia nie mogę sobie przypomnieć.



Otóż to, co otrzymywano stamtąd- były to dary narodu amerykańskiego. Otrzymywano stamtąd odzież, noszoną, ale w dobrym stanie; otrzymywano kocy, obuwie, skarpety, kominiarki, ciepłą bieliznę, ciepłe ubrania, mundury wojskowe- z żołnierzy poranionych, ale porcerowane i pozszywane elegancko; także różnego rodzaju pałta, a ponadto żywność: mąka, smalec, suszona marchew, suszona cebula, mleko w proszku, zupy w proszku- to, czym dzisiejsza technika dysponuje, to w Ameryce było na porządku dziennym w tamtym czasie. Tego było nie tak mało, to nas poratowało. Na przykład myśmy otrzymali na trzy osoby - chyba trzy kilogramy smalcu, otrzymaliśmy z jakiegoś dziesięć kilo mąki, otrzymaliśmy ciepłą odzież, po kocu, kominiarki, po cztery pary rękawiczek wełnianych, skarpet po kilka par - to było najważniejsze; butów dwie pary, jak sobie przypominam. Potem to wszystko, w czasie tej wielkiej nędzy- wymieniano się na żywność u miejscowej ludności. Pomoc amerykańska była ogromna. No i otrzymaliśmy pieniądze. Przedewszystkim przyznawano je tym, którzy byli w wielkiej potrzebie; byli przecież tam jeszcze od nas biedniejsi, byli ludzie starzy, sieroty- więc nas tam już raczej tą odzieżą subsydiowano. Tam wszyscy byli biedni, ale jedni mogli jeszcze jakoś pracować, i obowiązkiem było pomagać drugim. Myśmy pomagali przede wszystkim tym więźniom: Drewienkiewiczowi, Zaruskiej, Andresowi, Kosiarskiemu- i kto tam jeszcze był, chociaż p. Andres i p. Kosiarski z nami pracowali razem.

Ale stosunki polsko- radzieckie coraz bardziej się oziębiały. Kontakty z Nowosybirskiem, z konsulem dr Julianem Maliniakiem zostały absolutnie zerwane. Pana Scheigera coraz częściej wzywano do NKWD. Coraz bardziej go tam pomawiano i pòsądzano nie wiadomo o co; coraz bardziej jeden drugiemu na ucho szeptał, aby się wystrzegać, bo są kapusie, i jeden drugiego jakoś "sypie"- czy z tej ludności miejscowej, a między nami była też ludność ukraińska, która na nas zazdrośnym okiem łypała, bo w końcu nie im udzielano tej pomocy. Chociaż myśmy się i z nimi jakoś tą pomocą dzielili.



Aż przyszedł rok 1943. Było wiadomo, że coś w powietrzu wisi, że coś musi "pęknąć". I tak się stało. Zaczęto zmuszać nas do zrzekania się obywatelstwa polskiego, które nam przyznano na mocy porozumienia z 1941 r. Ludzie jednak odmawiali, i myśmy też odmówili. Wiedzieliśmy, że jeżeli zrzeczymy się polskiego obywatelstwa, przyjmemy sowieckie obywatelstwo- to tutaj nam grozi śmierć albo front, czyli też śmierć w ruskiej armii. Jeżeli się nie zrzeczymy obywatelstwa polskiego- być może, że się jakoś uratujemy; uratujemy dusze, uratujemy swój honor, uratujemy godność naszą. Ale też grozi nam śmierć. Wybraliśmy jednak: obywatelstwa polskiego się nie wyrzeknę! Obywatelstwa radzieckiego nie przyjmę! I nie przyjęliśmy. To było ostateczne, co mogliśmy uczynić. Czy dobrze? Myślę, że tak, że nawet bardzo dobrze! Nie zrzekliśmy się.

### 3. W WIEZIENIACH I OBOZACH

Potem był najazd ponownie na naszą kwaterę- a mieszkaliśmy przy ulicy Robotniczej 13 /1 pan Scheiger też miał swą siedzibę przy ul. Robotniczej, tylko nie wiem jaki numer- zapomniałem/. Nocą nas zabrano, osadzono w więzieniu mnie, brata i jeszcze wielu innych. Scheigera nie aresztowano; pozostał, ale nie wiem, co się z nim stało; niektórzy mówią, że zmarł w Krasnowodsku. W każdym bądź razie osadzono nas w więzieniu i po pewnym czasie, po przesłuchaniu w ciągu jednej nocy- "udowodniono" nam przestępstwo z artykułu "politycznego" 58. Wyrok: 10 lat.

I tak znowu Matka została sama na Syberii; kobieta w wieku już podeszłym! Straciła Ojca naszego, straciła dwoje dzieci w Zdobunowie, straciła teraz nas na Syberii. Często zastanawiam się, jak to Mateczysko nasze, dobra, stara, prosta Matka, która tyle że umiała czytać i pisać, nie znająca języka - jak ona fizycznie przetrwała - że, psychicznie przetrwała? To chyba tylko dzięki temu, że opiekował się nią jeszcze jakiś czas p. dr Kulinowski i pani Kamińska, z której synem też siedzieliśmy, gdyż też został aresztowany, z tego samego powodu. Jak ona się nie zagubiła, nie załamała



nerwowo, psychicznie, w tamtych strasznych czasach, na tej straszej, nieludzkiej ziemi?

Wiosną 1943 r., kiedy kora na Obie ruszyła, podstawiono statek-więźniarkę, który był nazwany chyba "Dzierżyński": był to statek specjalnie przeznaczony do przewożenia więźniów. Wiadomą jest rzeczą, że jak tylko rzeka oczyści się z lodu i kry, to przedewszystkim muszą opróżnić więzienia, bo więzienia w tamtych czasach wogóle "trzeszczały"- były przepełnione. Ludność tamtejsza bardzo uważała- kiedy statek przybył, i kiedy odpływa- bo będą wyprowadzać więźniów z więzienia, z "tiumny".

Tak więc z tej "tiumny", w której przebywała pani "aruską, Piątkowski, Andres, Munio, Drewienkiewicz, Orluta i inni, myśmy wyszli wiosną 1943 r. i załadowano nas na statek. Słyszeliśmy z tłumu krzyk naszej Matki; nawet ją dostrzegłem, pomachałem ręką; rzecz miała miejsce przed wieczorem. Wprowadzono nas na statek, zatrzaśnięto za nami kraty i bramy. Wydzielono nam na drogę racje solo - nej ryby i po 200 g chleba.

Obyczaj więźnia nakazuje, żeby żywności nie trzymać- a zatem i tę rybę i ten chleb zjedzono. Myśmy zjedli również, dlatego że mogą ukraść, może się w jakiś inny "cudowny" sposób zmarnować- więc co jest zjedzone, to jest pewne. Rosjanie mają zwyczaj karmienia więźniów soloną rybą, śledziem, a potem mają to do siebie, że nie dadzą wody. Jest to jeszcze jedna forma poniżenia. Proszę o tym pamiętać, że płynęliśmy Obem- rzeką, w której korycie przewalały się tysiące ton wody na minutę- a myśmy jechali z Kargaska do Kołpaszewa i wody nie było! Nie było co pić! Ale więzień myśli!

Skombinowali jakąś blaszankę, skombinowali jakieś nici /sputu- li z czegoś/, wydłubali w tej puszcze dziurkę, zrobili ucho i... zaczęto się domagać odprowadzania do ubikacji. I rzeczywiście odprowadzali. Wtedy tę puszkę czy blaszankę po jakiejś konserwie, czy co to było- to było takie podłużne, niewielkie, mieściły się tam półtorej- dwie szklanki wody- na tym sznurku, przez rurę klo-



zetową spuszczało się tę blaszaną, napęło się wodę, wyłagało się potem i tym się gasiło pragnienie! Może ktoś powie, że to jest nie do wiary, że to jest wogóle nieetyczne, że to jest niemoralne, i że to jest niemożliwe. Tak można sobie powiedzieć, ale tak się zdobywało wodę, tę wodę, po której płynął statek, a tym statkiem wieziono 250, może 300, a może 400 więźniów. Tak się tam właśnie zdobywało wodę.

Wyładowano nas w więzieniu w Kołpaszewie. Jak długo przebywalismy w Kołpaszewie- nie pamiętam. Wiem, że 29 czerwca jest święto Piotra i Pawła. Jutro miało być Piotra i Pawła- a dziś mnie z bratem rozłączono. Była to pierwsza rozłąka z moim rodzonym bratem Jankiem, pospolicie zwanym Jaśkiem, z którym dzieliłem każdy kęs chleba i każdy wolny czas, każdą wolną chwilę, każdą radę, każdą myśl... My się rozumieliśmy, na siebie patrząc; można było wszystko wyczytać. Ile myśmy czasu przegadali, ile przestudiowaliśmy, ile domyslników było w tych strzępach gazet, w skretach do papierosów! Tego wszystkiego teraz zostałem pozbawiony. Jaśka dzień wcześniej wzięto oddzielnie; jak się później okazało, wzięto go w Kołpaszewie do łagru i całą celę opróżniono. Tak jak przedtem było nas gęsto w celi- a byłem tuż przy celi śmierci-, tak jak przedtem była cela nabita, tak jak śledzie w beczce- więźniami, tak potem ja zostałem sam. Boże! Jakie to uczucie! Myślałem, że dostanę szału! I to naigrywanie się z więźnia przez "judasza" we drzwiach!

Po jakimś czasie poszedłem na następny "etap". Takim samym statkiem, czy tym samym, nie wiem już- przewieziono mnie do Nowosybirsku. W Nowosybirsku byłem w więzieniu na Krasnoarmiejskiej nr 2. Tam czternastoosobowa kwarantanna, i stamtąd gdzieś w lipcu a może w sierpniu załadowano nas na pociąg. Znowu wagon- więźniarka: cztery ściany wagonu, płata w środku, w każdym wagonie jest jeden strażnik za kratami, po tej stronie gdzie jest wejście. I ścisły reżim. Był to chyba koniec lipca; wiem, że przy -



wieziono mnie z grupą więźniów. Jak to było daleko- trudno mi powiedzieć; jechaliśmy całą noc. Wyładowano nas nad ranem, o świcie, na jednej ze stacji, i natychmiast kazano się nam położyć na trawie, na rosie! Piękny zapach piokunu! "Łożyś!" Pełno psów, i wściekła straż obozowa, wściekła! "Łożyś!" I wtedy słyszę obok siebie "Rebiata! Toż to Iskitim, jołki pałki! /i jeszcze inaczej po rusku, ruskie przekleństwo/. Tak my i propali!"/Chłopcy! Toż to Iskitim! Tak więc przepadliśmy!/. Potem podnieśliśmy się, ustawili nas w czwórki policzyli i "Uprzedzam- powiada jeden z nich- Nie rozmawiać, nie nachylać się, nie śpieszyć! Krok w bok- straż stosuje broń bez uprzedzenia!". I chyba ze sześć albo osiem psów! Przed nami jarzyły się światła łagru, przed którym drżeli łagiernicy wszystkich Gułagów na Syberii. Łagier, w którym były kamieniołomy i wypalanie wapna. Łagier, w którym był jeszcze tak zwany "sztrafłagier".

Łagier był oświetlony nazewnątrz reflektorami; łagier, który miał trzy zony: zona zewnętrzna, gdzie nie było wolno stąpać nikomu, wysypana była bieluskim wapnem, albo pobielona. Podwójna albo potrójne druty, i ściana murowana. I co kawałek strażnica z bronią maszynową. I potworna brama. I potworne zieniaraki, i potworne pluskwy, i potworna kostnica, i potworne wywożenie więźniów "na sieroj kobyle". To był Iskitim.

Kamieniołomy, noszenie na nosilkach kamieni, układanie t.zw. "karieru", wypalanie wapna, ładowanie tego wapna do wagonów... i tak każdego dnia, miesiąc po miesiącu...

Ludzie padali jak muchy. Tutaj spotkałem p. Kobusa z Grodna- Jasio Kobus. Co się z nim później stało? Prawdopodobnie później zabrali go gdzieś dalej. Tu też spotkałem z Polesia p. Marię Balińską, która mówiła, że jest żoną redaktora "Wiadomości Łuckich" czy "Poleskich"- nie pamiętam, jakich. Była to kobieta w wieku lat może czterdziestu pięciu. To była nie kobieta- to był żywy trup! Ta pani razem ze mną nosiła te kamienie. Spytała mnie, czy jestem głodny, bo by mi dała zupy. Odpowiedziałem, że jestem bardzo głodny.



zjadłbym te zupę, tylko ciekaw byłem, skąd bierze do niej składniki. Otóż okazało się, że jest taka trawa w obozie, której końce szczypią te panie i gotują, azupa miała kolor zielonego atramentu. Pani Balińska przyniosła mi wtedy dwie szklanki albo szklankę tej zupy do kamieniołomów. Wziąłem to łapczywie, ale... "Proszę pani, to jest naprawdę dobra zupa, ale ja jej jeść nie mogę!" I nie mogłem; to była normalna trawa, gorzka, zielona trawa, tyle że ugotowana!

W Iskitimiu dorobiłem się zupełnego już, kompletnego "muzulmanstwa" i wycieńczenia. Raz i drugi przyniesiono mnie na noszach, zanieślono do lazaretu, gdzie przyjęła mnie więźniarka, pani doktor narodowości estońskiej. Łamaną niemczyzną, a trochę w języku rosyjskim - szybkośmy się dogadali, i dzięki tej kobiecie, tej pani z Estonii, z Tallina, wypisano mnie z tego karnego łagru jako już kompletnego "dochodlagę" i odesłano do Nowosybirsk, a z Nowosybirsk skierowano mnie do następnego łagru, do Kiszyniowa - oczywiście po czternastodniowej kwarantannie-, i tam w Kiszyniowie co nieco odżytkami doczekałem się czasu, że mnie znowu po roku odesłano do Nowosybirsk, nie z zamiarem odtransportowania do nowego łagru, tylko z zamiarem uwolnienia mnie, na mocy umowy między Rządem Polski a Związku Radzieckiego. Zostałem uwolniony 14 czerwca 1944 r.

Dzień wcześniej miałem dziwny sen; o tym śnie nie mogę zapamiętać. Śniło mi się, że jestem w Rodatyczach, w naszym przepięknym kościele, gdzie w kruchcie wisiała Męka Pańska, Chrystus Ukrzyżowany, ale przedstawiony w sposób tak wyraźnie męczeński przez jakiegoś mistrza, że będąc dzieckiem bałem się tego krucyfiks i tej męki. Otóż w Nowosybirsku, kiedy już nas wiedli niby na wolność, ale o której jeszcze niczego nie wiedziałem - śni mi się, że jestem w Rodatyczach, klękam przed tym krzyżem i modlę się - przed tym krzyżem, którego się bałem jako dziecko. I nagle... prawa ręka Chrystusa tego odrywa się od krzyża razem z gwoździem i wyciąga się ku mnie!...

Obudziłem się! Dzień później byłem na wolności w Nowosybirsku.



Tak mi dopomógł Chrystus Ukrzyżowany!

Zwolnienie z więzienia w Nowosybirsku przebiegało wg ustalonego rytuału NKWD: nazwisko, imię, imię ojca i matki, data i miejsce urodzenia, wyznanie, krawni za granicą, narodowość o obywatelstwo. Dwa ostatnie pojęcia były najtrudniejsze do udowodnienia i trzeba było wręcz toczyć słowny bój celem udowodnienia swej narodowości i polskiego obywatelstwa. Przygwoździłem ich ostatecznie pytaniem: Za co więc otrzymałem od was wyrok 10 lat? Czy za miejsce urodzenia tylko?/bo urodziłem się w woj. Lwowskim w 1921 r./ No?

To był argument, który został uznany za jedyny dokument i dowód!

Oleśno, dnia 02. 02. 1991 r. /Franciszek Gwiazdowski/

Dzięki staraniom Związku Patriotów Polskich, Polacy z Syberii zostali w czerwcu 1944 r. przewiezieni do europejskiej części ZSRR. Franciszek i Jan Gwiazdowscy, oraz ich matka Maria, znaleźli się w m. Rossosz, w obwodzie Woroneskim. Stamtąd wiosną 1946 r. zostali repatriowani do Kraju.



P R Z Y P I S Y

- 1/ P o s t o j a ł y j d w o r, postojako-zajazd. W warunkach syberyjskich drewniana chata, w której podróżni mogli przenocować i ugotować sobie posiłek. Postojaka oddalone były od siebie o 25-30 km.
- 2/ Teatr w Kargasku był czynny, i uruchomiony przez uciekinierów z teatrów z Rosji Europejskiej, w tym wypadku z Leningradu i Ki-jowa. Część orkiestry teatru stanowili zesłańcy: Estończycy, Ło-tysze i Litwini. Byłem z bratem Jaśkiem na sztuce "groza", chy-ba Ostrowskiego, i "Wiśniowy sad" Czechowa. /P. Gwiazdowski/
- 3/ Znane są następujące nazwiska osób z tej dwunastki:

1. Jan Andres
2. Cz/esław/ Angiewicz
3. Teofil /Feliks/ Kosiarski
4. Stefan Drewienkiewicz
5. Bronisław Munio      zmarł w Kar/gasku 1943 r.
6. ....      Orluta
7. Franciszek Piątkowski, zmarł w Kargasku ?
8. Maria /Izabella?/ Zaruska

Może ktoś tę listę uzupełni?

Podane wyżej imiona pp. Angiewicza, Drewienkiewicza, Piątkow-skiego i Zaruskiej /Izabella/ są zanotowane we wpisach do "Pamiętnika" p. Antoniego Kasprowicza, który też przebywał w Kargasku.

- 4/ Mickiewicz Ludwik- imię zanotowane w spisach Polaków w Kołpa-szewie, 1943 r.
- 5/ D o c h o d i a g a - w gwarze obozowej- więzień, który wskutek warunków panujących w obozie jest już bliski śmierci, wycień-czony.
- 6/ Wiadomość ta wyjaśnia niezrozumiały początkowo zapis w książ-ce kasowej Męża Zaufania w Kołpaszewie, z dn. 18.03.1942  
"Przesłano dr Kulinowskiemu na przejazd do Kargaska 300 rbl"  
Widocznie w taki sposób sfinansowano jego podróż.